

CHARMAINE CRAIG

Miss Birmy

Przełożyła
Jolanta Kozak

MANDO 

Originally published under the title *Miss Burma*

© Charmaine Craig, 2017

All rights reserved

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2020

Chciałam szczególnie podziękować Ellen Levine, Peterowi Blackstockowi, Andrew Winterowi, Arthurowi i Judy Winter.

– C.C.

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © JoyCrew/Shutterstock

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2447-2

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: ABEDIK • Poznań

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0 dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Pamięci mojej matki, Luizy,
oraz jej rodziców, Bena i Khin.
Wszyscy urodzili się w Birmie.

A także dla Andrew, Avy i Isabel

Spójrz na historię Birmy.
Przybywamy tam,
organizujemy najazd, popierają nas
tubylcze plemiona, zwyciężamy –
ale podobnie jak wy, Amerykanie,
nie byliśmy wówczas kolonizatorami.
O nie, zawarliśmy pokój z królem,
zwróciliśmy mu jego ziemie i porzuciliśmy
naszych sprzymierzeńców...
na ukrzyżowanie czy przepiłowanie.
Byli niewinni. Myśleli, że zostaniemy.
Ale byliśmy liberałami i nie chcieliśmy
mieć wyrzutów sumienia.

Graham Greene, *Spokojny Amerykanin*,
tłum. Jacek Woźniakowski

Prolog

Oto ona, piętnastoletnia Luiza: wstępuje na prowizoryczną scenę pośrodku stadionu Aung San w Rangunie. Jest rok 1956. „Daj im siebie”, myśli. I natychmiast jedna jej dłoń wędruje na biodro, głowa do góry, a świadomość lokuje się niżej, na gołych udach i zbyt umięśnionych łydkach, na które patrzy w tej chwili czterdzieści tysięcy widzów usadowionych na trybunach pogrążających się w mroku.

„Daj im to, czego chcą”, pouczała ją matka w drodze na stadion. A Luiza rozumie, że matka miała na myśli coś więcej niż złote sandaalki na wysokich obcasach (pożyczone od koleżanki i przy-ciasne w palcach), coś więcej niż krzywizny ciała podkreślone białym jednoczęściowym kostiumem (skopiowanym ze zdjęcia Elizabeth Taylor). Jej matka miała na myśli wizję nadziei. Ale czym jest wyjście Luizy na tę kiczowatą scenę w ostatniej rundzie konkursu o tytuł Miss Birmy, jeśli nie wcielonym niebezpieczeństwem? Luiza jest prawie naga: jej lśniący kostium ledwie skrywa to, co powinno zostać intymne. Pozostaje prawie niewinna, ale jej wypchnięte w bok biodro zbliża się do granicy wulgarności.

Fala aplauzu wciąga ją głębiej w strefę światła. Luiza obraca się, prezentując jurorom i siedzącym za nimi widzom swoją pupę (szeroką dzięki żydowskiemu ojcu, który siedzi wraz z matką Luizy

gdzieś blisko bandy). Przed sobą ma teraz Luiza pozostałe finalistki, całą dziewiątkę, zgrupowane w cieniu w głębi sceny. Ich niewzruszone uśmiechy promienieją oburzeniem. „Kandydatka specjalna” – tak nazwała ją niedawno rządowa gazeta. Napisano o niej: „wcielenie jedności i integracji”. Luiza czuła się z tym dziwnie, bo nigdy nie chciała zwracać na siebie uwagi – jako dziewczynkę rasy mieszanej żenowały ją wzmianki o urodzie i rasie.

„Nigdy nie wygrywamy w te gry, w które chcemy wygrać”, powiedział jej kiedyś ojciec. Obraca się raz jeszcze, przechodzi przez scenę, pokonując chmurę dymu z czyjśgo cygara, jej wzrok zatrzymuje się przez moment na rodzicach. Tata siedzi zgarbiony, odsunięty od mamy, z lekko skręconą łysiejącą głową; jego potulne spojrzenie chwytą wzrok Luizy. Chociaż przebywa w areszcie domowym, załatwił sobie specjalną przepustkę na przyście tutaj. Niewykluczone, że jakimś sposobem wpłynął nawet na wynik konkursu piękności. Obok niego mama, jak zwykle naburmuszona, wyraźnie zdenerwowana i przesadnie pochłonięta przebiegiem imprezy. Wygląda, jakby się miała zaraz zerwać z miejsca, a oczy jej błyszczą dumą, pretensją i czymś na kształt udręki. „Ruszaj się!”, krzyczy niemo ze swojej grzędę, jakby nie chciała dać się przyłapać pełnym wyrzutem spojrzeniem Luizy.

I Luiza się rusza, a jakże, minąwszy rodziców, schodzi na proscenium, by stanąć przed panelem uśmiechniętych jurorów, wobec rzędów skierowanych na nią lornetek i strzelb w rękach pilnujących trybun żołnierzy. To niemal przyjemne, ten aplauz przechodzący w kakofonię pokasływań; to niemal urocze, te podmuchy zapachu czyichś perfum, gnijących odpadków i otaczającej stadion wilgoci; to wręcz wyzwalające, takie ofiarowanie siebie, swojej prawie na-gości. Przecież w Birmie wszyscy są skompromitowani, prawda? Tak wiele przeszli.

Chwilę później, zanim korona spocznie na jej głowie, nachodzi ją myśl, że widzowie to ekstatyczna kongregacja wiernych – albo dzikie bestie w zagrodzie – i czuje odruch ucieczki.

Ale oto przerzucają jej szarfę przez ramię.

W dłonie wciskają bukiet czerwonych róż.

Błysk flesza.

– Miss Birmy! – krzyczy ktoś z drugiego końca stadionu, jakby przez mrok tego, co się wydarzyło.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Nawróceni

1926—1943

I

Pięściarz

Kiedy blisko dwadzieścia lat wcześniej ojciec Luizy ujrzał po raz pierwszy matkę Luizy na końcu mola w porcie morskim Akyab – a raczej kiedy ujrzał jej włosy, czarny lśniący snop, który sięgał poniżej rąbka jej sukni aż po ubłocone białe kostki stóp – przypomniał sobie słowa: „Bóg kocha każdego z nas jak jedyne go człowieka na świecie”.

Taki miał zwyczaj, że z kataklizmów uczucia (nawet chuci) wycofywał się w konsolacje świętego Augustyna. Czy w nie wierzył? Kiedy czuł się tak wyjątkowo kochany? Kiedy od czasu, gdy był malutkim chłopaczkiem i mieszkał przy ulicy Tseekai Maung Tauley w żydowskiej dzielnicy Rangun? Nawet wspomnienia tamtych czasów i tamtego miejsca nie były bez skazy: wspomnienie dziadka recytującego Torę w synagodze Musmea Jezua, wspomnienie ojca za kasą w sklepie E. Solomon & Sons, wspomnienie szerokich brązowych kręgów pod oczami mamy, kiedy błagała go, swoje jedyne dziecko: „Uważaj, Benny”. Poumierali wszyscy na zwyczajne choroby przed 1926 rokiem, w którym on skończył siedem lat.

„Uważaj, Benny”. Lękliwa miłość mamy zapewniała mu bezpieczeństwo, miał tę pewność, dopóki nie zostało nic pomiędzy nim a śmiercią, dopóki nie wysłano go statkiem na Mango Lane

w Kalkucie, do ciotek, córek zmarłego rabina tego miasta. Ich miłość nie umywała się do miłości mamy. Była potulna, mdła i stawiała słaby opór jego udręce. Zaczął więc używać pięści, zwłaszcza gdy chłopcy w nowej żydowskiej podstawówce wyśmiewali się z niego, że dziwnie mówi i wtrąca birmańskie słowa. Odpowiedzią ciotek na „problem pięści” i na krew innych chłopców, którą te pięści ściągnęły do ich domu („Żydowska krew! On ma żydowską krew na rękach!”), było odesłanie go dalej, tym razem do jedynej w pobliżu szkoły z internatem, mającej boks w programie zajęć. Do Szkoły Świętego Jakuba na Lower Circular Road. Ciotki były zadowolone, gdyż ich wyrzuty sumienia z powodu chrześcijańskiego profilu szkoły łagodziło przekonanie, że żadna poważna instytucja religijna nie ulokowałaby się przy ulicy, której nazwa – gdy wymówić ją szybko – brzmiała jak „Lower Secular”, Niższa Świecka. „No i nie będzie miał więcej żydowskiej krwi na rękach”, przypominały sobie nawzajem z satysfakcją.

Miały rację. Przez najbliższych pięć lat spędzonych na Lower Secular jego pięści nie tknęły żydowskiej krwi, dotknęły za to krwi bengalskiej, angielskiej, pendzabskiej, chińskiej, tamilskiej, greckiej, marwarskiej, portugalskiej i ormiańskiej, mnóstwa krwi ormiańskiej.

Biedny Kerob „Ormiański Tygrys” Abdulian, czy jak on się tam nazywał. W obszernej sali gimnastycznej śmierdzącej spocnymi nogami, stęchłą herbatą i nadgniłym drewnem siedemnastoletni Benny walczył z nim o koronę Międzyszkolnych Mistrzostw Bokserskich Prowincji Bengal i jeszcze nigdy twarz jednego młodego mężczyzny nie została tak bardzo zmieniona fizycznie w imię metafizycznych problemów drugiego. Zanim padł na deski w pierwszej rundzie, Ormianin zaliczył lewy sierpowy w podbródek – za nieustającą samotność Benny’ego po śmierci

rodziców. I drugi lewy sierpowy w podbródek – za świat, który godzi się na takie zdarzenia, i jeszcze jeden – za słowo „sierota”, którego Benny nienawdził bardziej niż wszystkich obelg antysemitycznych, a którym koledzy z klasy nazywali go z okrutną, wyniosłą premedytacją. Prawy sierpowy w brzuch Ormianina był rewanżem za wszystkie matki i wszystkich ojców, wszystkie ciotki, wszystkich wujów, dziadków i opiekunów – kolonialnych obywateli „cywilizowanego” Imperium Brytyjskiego – którzy relegują podopiecznych do szkół z internatem w stylu Świętego Jakuba w Indiach. Ale żaden z tych ciosów nie powalił Tygrysa. Nie, tym, co rozłożyło Tygrysa na macie, a wszystkich widzów poderwało z miejsc, była eksplozja ciosów wywołana zdarzeniem, które Benny kątem oka dostrzegł na trybunach: wejściem młodej smagłej nowicjuszki od Świętego Jakuba, niejakej siostry Angeli. Benny dotąd prawie z nią nie rozmawiał, ale siostra Angela przychodziła – aż do dzisiaj – punktualnie na każdą jego walkę.

Poczytywał sobie jej obecność na meczach za oznakę oddania, może jemu, a może szkole (a zatem, przez implikację, Bogu?), tego nie był pewien. Sędzia zaczął odliczać nad powalonym Ormianinem, a siostra Angela usadowiła się w swoim białym habicie obok grupy uczniów, których żywiołowy doping dla Benny’ego dodatkowo eksponował jej niewzruszoną postawę i czujne spojrzenie czarnych oczu spoczywające na młodym pięściarzu. Ale po nagłym zakończeniu meczu, zanim Benny wyswobodził się z zalewającej ring fali kibiców, siostra Angela wymknęła się z sali gimnastycznej, niezauważona przez nikogo prócz Benny’ego.

Wieczorem tego dnia dumny dyrektor szkoły wydał bankiet na cześć Benny’ego. Udziec jagnięcy, pieczone ziemniaki, a na deser trifle pudding – zachodnie smakołyki, których Benny ledwo skosztował, gdyż cała jego uwaga koncentrowała się na czubku widelca

siostry Angeli, którym ta raz po raz dźgała nietknięty posiłek, pochylona skromnie nad stołem w rogu, dzielonym z pozostałymi zakonnice. Tylko raz pochwyciła i wytrzymała spojrzenie Benny'ego, odpowiadając na nie z taką mocą i wyrzutem, że Benny poczuł na twarzy wszystkie niedoskonałości, a zwłaszcza górną wargę – spuchniętą wskutek jedyne go prawego sierpowego, którym go trafił Ormiański Tygrys. Czyżby była na niego zła?

Jakby chcąc pozbawić go szansy uzyskania odpowiedzi na to pytanie, następnego rana zjawił się ojciec siostry Angeli i zabrał ją z klasztoru. Odjechała w ciemnoróżowym sari, które opinało jej biodra i podkreślało niemożliwie wprost czarne pasemka włosów wysuwające się z węzła na karku najwytworniejszej szyi, jaką Benny kiedykolwiek widział. Szyja królowej, powtarzał sobie przez kilka następnych tygodni, nadaremnie próbując utwierdzić swoją pozycję na ringu. Dziwna rzecz: jego zapal do walki ulotnił się wraz z siostrą Angelą.

Miesiąc później dostał od niej list:

Najdroższy Benny,

Czy pamiętasz, jak zastałam cię w bibliotece, kiedy mówiłeś sam do siebie? Pomyślałam, że dostałeś hysia od tego ciąglego obrywania po głowie. Ale nie: ty czytałeś świętego Augustyna i powtarzałeś sobie: „Bóg kocha każdego z nas jak jedyne go człowieka na świecie”. Powtarzałeś to wprawdzie z dużą dozą drwiny, ale ja od pierwszej chwili poznałam, że jesteś istotą pełną słodyczy i niezmiernie dobrej. I że rozmyślasz być może o tym, do czego i ja doszłam w swoich rozmyślaniach: że czasem trzeba się obyć bez ludzkiej miłości, aby nas mogła pełniej dotknąć miłość Boga. To prawda, że żadna ludzka miłość nie może być tak niezmacona jak Boża, nie sądzisz? Spróbuj, tak jak i ja próbuję, w każdej chwili smutku pomyśleć o Bożej miłości. Och, wiem, że będziesz myślał odwrotnie! Niech to jednak będzie

test i przypomnienie, że prawdziwi buntownicy są nieprzewidywalni. Kiedy się dowiedziałam, że ojciec ma po mnie przyjechać, pomyślałam, że NIE ODWAŻĘ SIĘ pójść na twój mecz, ale potem zmieniłam zdanie. Czy musiałeś aż tak wyzywać się na tym chłopcu? Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo, bardzo, bardzo się cieszyłam, że go pobiłeś, tak bardzo, że jeszcze teraz płaczę na to wspomnienie. Och, Benny. Módl się za mnie. Twoja najdroższa siostra Angela jest teraz żoną.

Z wiarą

Pandita Kumari (W.P. Jaidevowa Kumari)

Do Rangunu popłynął jeszcze w tym samym roku, w czerwcu 1938. Przez górną część Zatoki Bengalskiej przechodził akurat cyklon, który porwał parowiec w gwałtowne objęcia. Statkiem miało w górę i w dół, a Benny z każdą kolejną falą wychylał się pod wiatr przez burtę górnego pokładu i oczyszczał organizm ze złogów samotności narosłych przez lata w Indiach, lata zakończone złożoną wobec ciotek rebeliancką deklaracją przejścia na wiarę świętego Augustyna (którego Bóg, w co szczerze ufał, kocha go, jako rodzic, wyjątkowo), na co ciotki zadeklarowały w rewanżu, że chętnie wyprawią mu pogrzeb. Zanim cyklon przeszedł i ukazało się spokojne ujście rzeki Rangun, Benny poczuł się prawie wyleczony z przeszłości.

Na nabrzeżu oczekiwał go pracownik firmy B. Meyer & Company, Ltd., lukratywnego przedsiębiorstwa handlu ryżem z siedzibą w Rangunie, kierowanego przez jednego z jego dalszych kuzynów. Wspomniany pracownik, młody Anglo-Birmańczyk o nazwisku Ducksworth, był najrozmowniejszym człowiekiem, jakiego Benny spotkał w swoim życiu.

– Nie uprzedzili mnie, że jest pan zawodnikiem wagi ciężkiej! – wykrzyknął Ducksworth, gdy Benny uparł się samodzielnie wstawić

swój kufer do powozu ciągnionego przez dwa bawoły wodne (marzyło mu się, że wyjedzie po niego automobil, więc z niejaką zawścią spojrzął na pojazd mechaniczny stojący beczynnie na drodze). – Pan Meyer powinien być przydzielić pana do noszenia worków ryżu zamiast do popychania pióra! Chociaż nie jest to beznadziejnie nudne zajęcie: urzędniczenie, a i pensyjka nie jest beznadziejnie niska. Wystarczy na szacowne przeżycie, a przynajmniej na wikt i opierunek w hostelu Lanmadaw YMCA. Zresztą i tak będzie tam panu lepiej niż gdzie indziej. Wesole towarzystwo, wielu z nich to brytyjscy oficerowie, półbiali. Pan szanowny jest... pół-Hindusem?

Nim Benny zdążył odpowiedzieć, złapała ich popołudniowa ulewa i Ducksworth zajął się pomaganiem woźnicy w stawianiu przedziewiałej metalowej budy powozu. W każdym razie, pomyślał sobie Benny, lepiej omijać temat rasy. Nie obawiał się bigoterii – pan B. Meyer był świetlanym przykładem żydowskiego sukcesu – ale męczyło go noszenie etykiety, z którą już się nie utożsamiał. Swoją żydowskość postrzegał jako cechę utraconą wraz z dzieciństwem: owszem, kiedyś stanowiła część jego osoby, ale nie dostrzegał ani śladu jej obecności w tym, kim był teraz.

Ducksworth palił się do roztoczenia nad nim opieki – dokładnie tak, jak Benny już wkrótce palił się do ucieczki od wszystkiego, co ograniczało jego nowo odkrytą wolność w Rangunie. W ciągu kilku pierwszych tygodni stwierdził, że dopóki dobrze pracuje, dopóki przykłada się do popychania pióra, a ponadto okazuje stosowną uprzejmość współlokatorom w YMCA (gdzie był najmłodszy i powszechnie lubiany), dopóki wypłaca się Ducksworthowi paroma łaskawymi uśmiechami albo chwilą uważnej rozmowy, dopóty może wypuszczać się w miasto samotnie. Toteż co wieczór po kolacji wymykał się ulicą Lanmadaw na Strand, gdzie wśród wykwintnych gmachów rządowych i willi pobudowanych

przez Brytyjczyków zwalniał kroku i upajał się wieczornym powietrzem. Był spragniony widoków, których nie było mu dane oglądać w zamknięciu u Świętego Jakuba, widoków, które stały mu się tak obce, że przyjmował je z zenującym zaciekawieniem świeżo przybyłego na Wschód Brytyjczyka: mężczyźni siedzą na skraju jezdni, palą cherooty, żują betel albo coś razem śpiewają; nachalni Hindusi usiłują sprzedawać przechodniom lody; muzułmańscy sklepikarze czytają na głos ze swojej świętej księgi; kramarze zachwalają przyprawy korzenne, konserwy i parasolki werniksowane wonnym olejkiem; robotnicy pobrzękują narzędziami w bramach domów; autobusy, riksze, wozy ciągnięte przez woły, bosonodzy mnisi, Chińczycy na rozklekotanych rowerach i kobiety w wielobarwnych, ciasno okręconych sarongach, przenoszące na głowach ciasta sezamowe albo wodę, kobiety, które śmiało, z szerokim uśmiechem, spoglądają mu w oczy. Jakże odcięty od świata był na Lower Circular!

Z przykrością stwierdził, że ciotki przestały go rutynowo zapraszać na Mango Lane, i to na długo przed jego oświadczeniem o konwersji, a upojenie, jakie odczuwał w tym mieście, brało się po części z kielkującego w nim poczucia przynależności. W istocie wiedział o Birmie niewiele więcej, niż się nauczył na lekcjach historii: że rejon ten został zasiedlony setki (a może tysiące?) lat temu przez zbieraninę plemion; że jedno z tych plemion, Bamarowie, zdominowało pozostałe; że problem, jakim była ta dominacja dla reszty plemion, rozwiązali Brytyjczycy, którzy zajęli Rangun przed blisko stu laty i rządzą tam nadal, obsadzając urzędy i siły zbrojne tubylcami. Już same nazwy plemion wprawiały w popłoch jego ignoranckie uszy: Szan, Mon, Czin, Rohindza, Kaczin, Karen (miał wrażenie, że trzy ostatnie wymawia się z akcentem na drugą sylabę: RO-HIN-dza, KA-CZIN, KA-REN) i tak dalej. W znajomości

birmańskiego wciąż nie wychodził poza kilka prostych fraz – jego językiem zawsze był angielski (choć rozumiał jako tako bengalski i hindustani miejscowych sklepikarzy). Mimo to, mijając ludzi wymieniających plotki w swoich nieprzeniknionych językach albo ulicznych wykonawców tutejszej porywającej muzyki, doznawał przemożnego poczucia zrozumienia. Może była to kwestia ich przyjaznego usposobienia, wrodzonego luzu, nieudawanej kurtuazji, umiłowania życia i łatwości, z jaką akceptowali jego prawo do przebywania pośród nich, chociaż musiał im się wydawać słoniowaty (i beznadziejnie tępy, kiedy pokazywał na migi, co chce kupić). Odnosił wrażenie, że bez względu na to, skąd ci ludzie pochodzą (z Mongolii? z Tybetu?) i przed iloma przybyli wiekami czy mileniami, od dawna akceptują obcą infiltrację swojej ojczyzny, byleby była pokojowa. A jednocześnie przeczuwał wyraźnie, że nigdy nie zapomnieli ziemnego pyłu bezdomności, który osiadł na ich stopach.



– Cholerni obywatele – burczał często Ducksworth na towarzystwo z Lanmadaw YMCA, które codziennie po kolacji zbierało się w ciasnym, zastawionym tekowymi meblami saloniku i napełniało kieliszki koniakiem (nabywanym, o czym Benny dowiedział się ze wzruszeniem, u E. Solomona & Syn, gdzie swego czasu pracował jego ojciec). Nieodmiennym zwyczajem zaraz siadali do brydża, a grając, pijąc i paląc aż po świt, prowadzili rozmowy – o dziewczętach, o polityce, o wielkości Imperium Brytyjskiego, o genialnym Pax Britannica, dzięki któremu kraj ten funkcjonował płynnie, z przepiękną regularnością szwajcarskiego zegarka.

– Całkiem inaczej niż Chiny – wtrącił się którejś nocy Ducksworth – odkąd Japonia zajęła Mandzurię. A swoją drogą, co waszym zdaniem kombinuje ten Hitler, wspierając Japończyków?

Benny uznał, że Ducksworth ma w sobie coś obleśnego. Zbyt gorliwie się śmiał, nazbyt chętnie tracił kontrolę pod unicestwiający wpływ tytoniu i alkoholu. Taki nigdy nie skrwawi sobie pięści w żadnej sprawie, choćby nawet miał odwagę uwierzyć w więcej niż przyzwoitą pensję, przyzwoity posiłek i w miarę przyzwoitego brydża. Nie, warunkiem przetrwania tego człowieka był jego lekki stosunek do życia pozwalający mu siedzieć swobodnie w tym towarzystwie, chociaż w jego oczach na miano człowieka zasługiwał tylko biały albo Bamar – z tego samego powodu tolerowano jego skrajny imperializm, przeciw któremu zaczynało się buntować coraz więcej Birmańczyków.

Choćby przedwczoraj: Ducksworth zrobił sobie przerwę na herbatę i odsłonił przed Bennym całą płytkość swych przekonań. Byli w biurze sami, Ducksworth nieelegancko zarzucił nogi na krzesło i uniósł filiżankę do wydętych warg, a Benny miał akurat ochotę pogadać o studencie prawa z Uniwersytetu Ranguńskiego, Bamarze, niejakim Aung Sanie, który mocno gardłował przeciwko obecności Brytyjczyków.

– To twardy wróg imperializmu, nacjonalista – mówił z przejęciem Benny. – Podobno zakłada jakiś ruch, twierdzi, że Bamarowie są tutaj prawdziwymi panami i władcami, a Brytyjczyków niech szlag trafi i wszystkich innych razem z nimi.

Mówiąc o „wszystkich innych”, Benny miał na myśli takie przypadki jak B. Meyer i on sam, a także muzułmanów, Hindusów, Chińczyków i autochtonów mieszkających w Birmie od wieków, niejednokrotnie dłużej niż Bamarowie.

– Bo nikt inny nie ma prawa do tego kraju – odrzekł z pogardą jego nowy przyjaciel, czym przypomniał Benny’emu, że jako syn birmańskiej matki i angielskiego ojca ma jednoznacznie dominujący punkt widzenia.

Ducksworth zazwyczaj nie posuwał się jednak tak daleko, by trzymać z Bamarami; wolał poprzestać na kompromisowym rozwiązaniu Pax Britannica. Za każdym razem gdy w rozmowie Benny próbował z niego wydusić opinię na tematy polityczne, Ducksworth wymykał mu się w owiane tytoniowym dymem dywagacje na temat subtelnych uciech, jakie zapewnia brytyjska herbata (którą kupował u Hindusa), brytyjskie cięte kryształy (których nie posiadał) i brytyjskie maniery (jako demonstrował nader rzadko). A Benny, ogólnie rzecz biorąc, przyznawał, że rządy brytyjskie krzewią ducha tolerancji, który wielu birmańskim obywatelom przynosi więcej pożytku niż szkody. Istniał, oczywiście, swoisty system kastowy, w myśl którego biały człowiek stoi na samej górze, a tuż pod nim jest Anglo-Bamar; z pewnością Brytyjczycy mają najgłębsze kieszenie, ale jednocześnie panuje wolność religii i równy podział pracy w brytyjskich urzędach i służbie wojskowej; *summa summarum* – ogólne prosperity. Z nielicznych lektur, jakie sobie przyswoił od czasu, gdy ponownie wylądował w Rangunie, Benny wywnioskował, że pokonani przez Brytyjczyków władcy birmańscy nie odnosili się równie łaskawie do podbitych ludów (nawet we własnym interesie, jak to czynili Brytyjczycy).

– Słuchaj no, Benny – zagadnął go Ducksworth owego wieczoru, kiedy nikt nie kwapił się odpowiedzieć na jego pytanie o Hitlera sprzyjającego Japończykom. – Złożyłeś już to podanie?

Właśnie zaczęli rozgrywać karty, Ducksworth rozdawał.

– Jakie podanie? – zainteresował się Joseph, który również pracował w firmie i mieszkał w Lanmadaw.

– Benny nie traktuje naszej pracy poważnie, Joseph, bo za „nudna”, za...

– Bo taka właśnie jest! – potwierdził hardo Benny, przysłaniając dłonią ziewnięcie.

– Jakie podanie? – powtórzył Joseph.

– Do Służb Celnych Jego Wysokości – odrzekł Ducksworth. – Brzmi wyraziście, przyznasz? Ty, Joseph, jesteś na takie rzeczy za leniwy, ale nie Benny. Czyż nie wyglądałby zabójczo w białym mundurze?

Czyżby Ducksworth kpił sobie z niego? Przecież sam go namawiał do ubiegania się o niższe stanowisko, wprost nie mógł się doczekać, kiedy nawróci Benny’ego na swoją ulubioną wiarę: imperializm.

– A jaki to ma sens? – odparł Benny. – Anglicy i tak niedługo stąd wyjdą.

Ducksworth przez chwilę tylko przyglądał mu się spod zmrużonych powiek przez obłok dymu. A potem rzekł:

– Twój problem polega na tym, że wierzysz w dobro i zło. Nie wiesz, że zło dopadnie cię, choćbyś nie wiem jak się starał?



Zdarzało się od czasu do czasu, że podczas swoich samotnych wędrówek Benny łowił wzrokiem jakiś policzek, szyję, delikatną dłoń albo kaskadę czarnych włosów, które mogły należeć do siostry Angeli. Pewnego wieczoru w listopadzie, gdy deszcz padał z przerwami, a on zapaścił się poza granice miasta, spostrzegł dziewczynę w sari koloru fuksji idącą szybko pustą ulicą; potykała się co parę kroków, jakby jej uwagę pochłaniały sprawy wyższe niż stawianie stóp jedna za drugą. Na stromym zboczach wiodącym

w górę do pagody Szwedagon zorientował się, że bezwiednie idzie za nią, i szedł dalej, aż zyskał pewność, że dziewczyna wyczuwa jego obecność równie mocno jak on jej: byli teraz jak dwa kamertonnie niebezpiecznie wzmacniające nawzajem swoje wibracje. Grunt się wyrównał i dziewczyna pospieszyła betonową ścieżką w stronę pagody. Gdy wbiegała po zniszczonych schodach, obejrzała się na niego. Natychmiast uznał, że te wystraszone oczy nie mają nic wspólnego z siostrą Angelą. Czar prysł. Dziewczyna znikła w złotej bramie osadzonej pomiędzy dwoma olbrzymimi gryfami rzeźbionymi w przerażające figury potępieńców.

– Głupi jesteś? – Usłyszał. Kiedy obejrzał się na bramę, stał w niej Hindus obrócony twarzą do niego. Chudy, miał długie wątle ręce, które nie były rękami pięściarza, a w jego bursztynowych oczach nie płonęła wściekłość. Wyglądał raczej na boleśnie zranionego, zdruzgotanego. Benny potwornie się zawstydził, było mu niezwykle przykro. – Głupi jesteś? – powtórzył chudzielec po angielsku, z silnym akcentem bengali.

– Tylko niemądry – odparł Benny.

– Gdzie pracuje twój ojciec?

– Proszę wybaczyć, sir...

– Żądam, żebyś mnie zaprowadził do swoich rodziców!

Hindus zszedł po schodach i przysunął się tak blisko, że Benny poczuł jego oddech pachnący tytoniem.

– Zgłupiałeś? – spytał raz jeszcze, ciszej. – Straszyc dziecko, które chce tylko zapalić świecę w intencji matki? Sam powinie- neś uczcić zmarłych. Zastanowiłeś się, co o tobie pomyślą, jak spojrzą w dół i zobaczą twoje zachowanie? – Pytania zdawały się płynąć kaskadą ze skołatanego serca. – Nie wiesz, że kiedy przy mężczyźnie nie ma surowego strażnika, musi on być surowy sam dla siebie?



Benny nie unikał wizyt w synagodze Musmea Jeszua, na której cmentarzu leżeli jego rodzice. Kilka wieczorów później zapuścił się w dzielnicę żydowską, gdzie bazar działał jeszcze pełną parą. Omiótł wzrokiem oświetlone pochodniami stragany i spojrzął do góry, na drewniane balkony ruder, którym jego ojciec wróżył pożar. („Poczekaj, a przekonasz się, Benny. Nie uważają, wcale nie uważają z tymi pochodniami ci uliczni kramarze”).

Nieco dalej przy tej samej ulicy znalazł niebawem sklep E. Solomona, zamknięty na noc i jakby mniej dostojny, niż mu się wydawało dawno temu. Przez zakurzoną witrzynę spojrzął na ledwo widoczne w półmroku rzędy likierów i whisky. Ile razy powstrzymał się przed dotykiem towaru, ojciec nagradzał go butelką oranżady. Benny łykał słodki, musujący napój, zachwycając się gulgotaniem szklanej kulki w ciasnej szyjce butelki. Jego tatuś był głównym kasjerem w firmie E. Solomona, która zaopatrywała brytyjską marynarkę w napoje i lód ze swoich studzien rozmieszczonych wzdłuż brzegu rzeki. („Dzięki marynarce jesteśmy bezpieczni, Benny. Jak myślisz, co pozwala marynarzom przetrwać w tym strasznym upale? Nasz lód! Nasze napoje gazowane!”)

Na rogu Tseekai Maung Tauley zapatrzył się w okna ich dawnego mieszkania na drugim piętrze, skąd mama podglądała jego zabawy z innymi chłopcami. Nie była typem przesadnie czulej matki kwoki, jej miłość objawiała się w sposób bardziej zrównoważony: pogłaskaniem po policzku, muśnięciem ciepłych warg na czole. Udzielała mu za to rad pełnych miłości, uważności i pochwały. („Nie wolno myśleć tylko o sobie, Benny. Jedynie

zwierzęta myślą tylko o sobie. Największy grzech to zaniechanie swojej odpowiedzialności za tych, którym gorzej się wiedzie”). Zdawała się nosić swoją odporność na niskie ludzkie odruchy we wklęsłościach delikatnej, stale melancholijnej twarzy, w powolnych ruchach, w spojrzeniu kierowanym na syna – jakby już obserwowała go z oddalenia wieczności. Szczodrość i dobroczynność – to były jej faktorie. Ileż to razy szykowała kosz owoców dla tych, którym gorzej się wiedzie? Ile razy modliła się żarliwie za chorych, paląc świece, które snujący się po domu tatuś zaraz gasił z irytacją, bo był obojętny na takie sprawy? Mama uwielbiała śpiewać – cicho, jakby od niechcienia – a jej głos wymykał się przez okno na zaszczyconą nim ulicę. A potem... cisza.

Nogi poniosły Benny’ego w wąską uliczkę Dwudziestą Szóstą, gdzie znalazł ciemny zarys menory i słowa „Musmea Jeszua” wyryte na łuku portalu wielkiej białej synagogi. „Musmea Jeszua” – niesie zbawienie. Znaczenie tych słów wróciło do niego wraz z radą dziadka, aby w czarnej godzinie nie wahał się szukać ucieczki w tym przybytku. Nie umiał sobie przypomnieć, w którym miejscu na cmentarzu leżą jego bliscy, ale nogi znów same odkryły drogę, wiodąc go ścieżką przez zarośla pod drzewo, gdzie znalazł groby rodziców. Klękając, dotknął zimnej macewy z hebrajskim napisem, którego już nie umiał odczytać, a potem przytknął czoło do szorstkiego kamienia na grobie matki. I wydało mu się, że słyszy jej głos: „Jestem tu, koło ciebie, Benny”.

Świat zmarłych miał na wyciągnięcie ręki: wystarczyło, że poświęcił mu uwagę, a zmarli wychodzili na spotkanie.

Długo tak siedział z głową opartą na nagrobku; jego umysł wyciszył się, zatopił w uważności, uwrażliwił na wiatr, na ptaki, na życie tętniące w zaroślach. Musiało być parę minut po wschodzie

słońca, kiedy jeden z dozorców synagogi zastał go śpiącego. Benny ocknął się i otworzył oczy na widok brzemiennych światłem chmur, zanim kamień ugodził go w policzek.

– Hindus! – wrzasnął na niego dozorca. – Włóczęga! Won! Nie ma tutaj miejsca dla ciebie!

Od morza

Khin już go gdzieś widziała, tego młodego oficera (Anglo-Hindusa?). Zauważyła jego ręce, silne i przyciśnięte do boków, i szybki, niespokojny chód, jakim przemierzał teren portu w tę i z powrotem, jakby próbował rozbroić zawarty w ciele ładunek wybuchowy. Któregoś popołudnia obserwowała go na barkasie, którym płynął do statku zakotwiczonego w zatoce: stał na dziobie, wychylony pod wiatr, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Aż tak pewny jest swojej równowagi? – pomyślała ze zdziwieniem. A może podświadomie miał nadzieję skusić los, tak jak ona to nieraz robiła w chwilach chandry, wychodząc na sam skraj tego mola, na którym stała teraz, we wrześniu 1939 roku, z chłopczykiem, swoim podopiecznym.

Przyjechała do Akyab przed czterema miesiącami, aby podjąć pracę niani u sędziego, Karena, który hołdował zasadzie zatrudniania u siebie wyłącznie ludzi własnej prześladowanej rasy, tak przynajmniej deklarował. Sześćoletni synek sędziego często wyciągał ją do portu, na molo, skąd mogli obserwować piękne hydroplany startujące i lądujące na niespokojnych wodach. Przepadała za hydroplanami nie mniej niż jej podopieczny, zachwycały ją swoją cicho parszkającą gracją, ale jej zachwyt podszyty był rozpaczą. Ilekroć bowiem widziała, że samolot wykonuje gwałtowny zwrot, wyobrażała sobie, że zaraz spadnie jak zestrzelony z nieba ptak.

Chłopczyk wskazał palcem srebrzysty korpus samolotu wznoszącego się ku chmurze, a Khin zadrżała i gwałtownym ruchem ściągnęła go z przegniłych desek, za którymi zaczynało się morze.

– Czas wracać – powiedziała.

– Chcę popatrzeć, aż całkiem nie będzie go widać – powiedział z uporem.

Nie mówiono mu, że Japonia toczy wojnę z Chinami, że Niemcy dokonali inwazji na Polskę ani że Francja i Wielka Brytania wypowiedziały Niemcom wojnę. Jego niewinność budziła w niej poczucie winy, jakby podsycając w nim miłość do samolotów, dopuszczała się zdrady. Wiedziała, że to niemądre, wyobrazać sobie katastrofę tych samolotów. „Wojna nigdy tu nie dotrze – zapewnił ją sędzia, wysłuchawszy jak co wieczór angielskiej audycji radiowej. – Japończykom zależy tylko na Malajach. A poza tym na nasze terytorium można się dostać wyłącznie drogą morską, a Brytyjczycy na morzu są niezatapialni”.

– Mam dla ciebie w domu niespodziankę – skłamała. Ośłoniła oczy przed jaskrawym słońcem i spróbowała obdarzyć małego najszczerzym uśmiechem, na jaki było ją stać.

Chłopczyk przyglądał jej się bacznie przez dłuższą chwilę.

– Jaką niespodziankę? – zaciekawiał się w końcu.

– Powiem ci na miejscu.

Żadnej niespodzianki oczywiście nie było, a kiedy potykając się, schodzili na ląd po kostropatych deskach (kiedy ona, potykając się, uchodziła przed nieproszoną wizją swojego ciała osuwającego się w rozedrgane fale), patrzyła cały czas pod nogi i głowiła się gorączkowo nad jakimś drobiazgiem, który malec mógłby od biedy uznać za niespodziankę. Chłopczyk już zaczynał wątpić w jej obietnicę. Może służąca kupiła przynajmniej parę kremówek od tego Hindusa, który zachodził do nich co środę.

Byli już w połowie drogi do brzegu, kiedy podniosła wzrok i ujrzała wpatzonego w nią oficera, który stał po drugiej stronie drewnianej furtki zamykającej molo. W białej czapce włożonej na bakier opierał się o rozchwierutaną furtkę, jakby zagradzał im wyjście na ląd. Nawet z daleka zauważyła, że młodzieniec bez żenady taksuje wzrokiem jej biodra, jej włosy. Gdyby jakikolwiek mężczyzna gapił się na nią w ten sposób, wprost pożerając ją wzrokiem, po prostu by... no, po prostu by się roześmiała.

Oficer zawołał coś do niej znieznacka, a ona z powodzi angielskich słów wyłowiła tylko „nie”, które wymówił z silnym naciskiem co najmniej dwa razy. Na pewno radził jej jak najszybciej zejść z mola (domyśliła się tego, bo przekrzywił mocniej głowę i gestykulował w stronę lądu). Jego głośna obcesowość pewnie by ją uraziła, gdyby nie to, że miał miły, śpiewny głos – baryton – w którym pobrzmiwała nuta dobroci.

Zatrzymała się ponad metr przed furtką, wzięła chłopczyka za ciepłą rękę i dzielnie przetrwała kolejny atak wichru i rozpylonej morskiej wody. Wzrok oficera skupił się teraz na jej oczach. Poczuła, że się czerwieni, oglądając z bliska jego twarz: ciężką szczękę, usta zbyt pełne jak na mężczyznę i odstające pod otokiem czapki uszy. Był po swojemu przystojny, ale nie dopatrzyła się niczego osobliwego w jego grubych rysach (to fakt, że miał w sobie coś ze słońia!). Niczym niezwykłym nie był też jego władczy stosunek do portu (wszyscy oficerowie mieli władczy stosunek do całej Birmy, tak jakby sami nie byli poddanymi Jego Wysokości Króla Anglii). Musiała jednak przyznać, że wygląda lepiej, niż to sobie wyobrażała z daleka. Zaskoczyła ją przede wszystkim (dostrzeżona zapewne bezwiednie) potulność jego spojrzenia, wyraźnie kontrastująca z imponującą posturą. Nawet w uśmiechu, z jakim spojrzał na jej usta, a ona go bezwiednie odwzajemniła, czaił się jakiś smutek.

– Mamy kłopot, nianiu? – zapytał chłopczyk.

– Możliwe – odparła cicho.

Oficer znów zaczął coś mówić, tłumaczył jej coś po angielsku, a nieopodal hydroplan rozgrzewał silnik.

– Patrz! – Małec wskazał palcem samolot skaczący już po falach.

Przez chwilę wszyscy troje stali w niemym zachwycie, obserwując, jak samolot wznosi się w lazurowe niebo i osiągnąwszy właściwą wysokość, spokojnie odlatuje na północny zachód, jakby gdzieś tam za horyzontem nie szalała wojna.

– Pięknie! – Głos oficera dotarł do niej przez świst wiatru.

Mężczyzna cofnął się od furtki. A gdy ich oczy znowu się spotkały, Khin tak się zawstydyła, że szarpnęła chłopczyka do przodu, gwałtownie otworzyła furtkę i pospiesznie minęła oficera, którego twarz spontanicznie przybrała zbolały wyraz.



Zainteresowanie oficera jej osobą było dla Khin zarazem miłe i deprymujące; deprymujące, ponieważ przypomniało jej, że ona sama rozmyślnie unika interesowania się swoim wnętrzem z obawy, że odkryje tam coś zdecydowanie niemiłego.

Z młodości pamiętała chwile błogiego spokoju, kiedy jej ojciec miał jeszcze ziemię i życie, a matka miała jeszcze uśmiech. Osoby postronne być może nie nazwałyby jej dzieciństwa beztroskim. Ani Khin, ani jej młodsza siostra nigdy nie chodziły do szkoły, bo od małego pracowały w sadzie. Za to miały dość czasu na łażenie po drzewach, bieganie i zabawę, na kąpiele w rzece, na cierpliwe siedzenie, gdy mama zaplatała im włosy, i na śpiewanie.

Śpiew był ich swobodą, ich sztuką, ich modlitwą, ich lekcją. Śpiewały kareńskiemu bogowi Y'wa, który, jak je nauczono, był również chrześcijańskim Stworzycielem. Nocą, wyciągnięte pod moskitierą, śpiewały duchom sadu. A zapadając w sen, słuchały mamy, która wyśpiewywała dzieje ich ludu:

Dawno temu przybyliśmy tutaj wzdłuż rzeki piasku. Pokonaliśmy przerażające bezdroże, po którym, niczym fale przed morzem, zwały piasku gnały przed wichrem. Wyszliśmy na ten zielony ląd ze źródłami wód i jeziorami na wysokościach. Trafiliśmy między Syjamczyków i Bamarów, którzy nas uczynili niewolnikami. Zabrali nam nasz alfabet i święte księgi, ale nasza starszyzna obiecała nam nadejście Mesjasza. Biali cudzoziemcy przywiozą świętą księgę, mówili. Dziękujcie po stokroć za przyjsie białych ludzi. Dziękujcie, synowie puszczy i dzieci ubóstwa, albowiem przed ich przyjsiem byliśmy biedni i podzieleni i rozproszeni na wszystkie strony.

Przed białym człowiekiem żyliśmy na strumieniach, to jednym, to drugim, a Bamarowie kazali nam ciągnąć łodzie i ścinać rattan. Kazali nam zbierać damarę i kardamon, szukać pszczelego wosku, wyplatać maty, zdzierać korę z drzew na liny, przeciągać kłody i oczyszczać ziemię pod ich miasta. Domagali się podarków – pochrzynu, bulwocebul kolokazji, imbiru, papryki, mięsa, kłów słoniowych i rogów nosorożca. Jeśli nie mieliśmy dla nich pieniędzy, kazali nam pożyczać, i tym sposobem znów czynili nas niewolnikami. Kazali nam strzec swoich fortów, pełnić funkcję przewodników i porywać Syjamczyków. Chłostali nas kijami, bili pięściami, katowali nas dzień po dniu, aż wielu padło trupem. Kazali nam nosić ryż żołnierzom, przez co nasze własne pola leżały odłogiem i wielu z nas głodowało. Porywali nas, więc chorowaliśmy z tęsknoty, a gdy błagaliśmy o łaskę, spotykała nas natychmiastowa śmierć. Uciekaliśmy nad strumyki, w górskie wąwozy, żeby nam nie zabrali łódek

i kobiet. Ale zawsze nas znajdowali i brali, co chcieli, a nas zmuszali, abyśmy gromadzili się pod miastem, gdzie nasi ludzie masowo wymierali. I w tym zamięcie modliliśmy się w ukryciu. „Dzieci i wnukowie – mawiali z dawien dawna nasi starcy – Y’wa jeszcze ocali nasz naród”. Modliliśmy się w strugach deszczu, kąsani przez moskity i pijawki. „Skoro Y’wa ma nas ocalić, to niech to uczyni szybko. Lecz biada nam. Gdzie jest Y’wa?” – pytaliśmy. „Dzieci i wnukowie – mówili starcy – jeżeli przyjdzie to do was lądem – płacicie, a jeśli morzem – śmiejecie się. To się nie stanie za naszych dni, ale stanie się za waszych. Jeżeli przyjdzie od morza, odetchniecie z ulgą; lecz jeśli przyjdzie od lądu, nie znajdziecie ani skrawka ziemi do zamieszkania”.

– No i skąd przyszli ci biali cudzoziemcy, mamó? – pytała nieraz sennie Khin spod osłaniającej matę moskitiery.

„Od morza! Od morza!”, odpowiadała piosenka mamy, a jednak mama śpiewała ją jak lament.



Następnego dnia wieczorem była w kuchni u sędziego ze swym podopiecznym, którego karmiła przy stole zupą z ryżem, kiedy nagle, wyrzawszy przez okno, zobaczyła czarny samochód zajeżdżający wolno pod dom. Z tylnego siedzenia wyłonił się z wahaniem tamten oficer. Widząc go, Khin porwała chłopca na kolana i ukryła twarz na jego miękkim karku.

– Co się stało, nianiu? – zapytał chłopczyk. – Jesteś smutna?

– Zabawimy się w chowanego? – wymamrotała bez namysłu.

Ktoś zapukał do drzwi i rozległo się znajome poskrzypywanie mahoniowego fotela, z którego sędzia wstawał, żeby otworzyć.

– Ktoś przyszedł! – wykrzyknął malec, zeskakując z kolan Khin i wybiegając z kuchni. Odkąd dwa lata wcześniej zmarła jego matka, odwiedziny stały się u nich rzadkością.

Khin z napiętą uwagą nasłuchiwała falującej intonacji przytłumionej rozmowy z sąsiedniego pokoju, urywanych pytań oraz oznajmień sędziego i pełnych mocy odpowiedzi oficera, dawanych, jak jej się wydało, z nerwowością i szacunkiem. Zaledwie parę angielskich słów: *girl, port, sun* (a może *son?*), usłużnie wpadło jej w ucho, a owa nieprzejrzystość rozmowy tylko umocniła ją w przekonaniu, że chwilowo nie grozi jej konfrontacja z losem.

– Khin! – zawołał na nią sędzia.

Zerwała się z miejsca i przeszła do salonu, gdzie zastała oficera usadowionego spokojnie w fotelu sędziego; czapkę trzymał w dłoniach, a jego ciemne włosy były przylizane w wybrylantynowane fale. Natychmiast poszukał wzrokiem jej spojrzenia i skłonił się grzecznie, jakby milcząco o coś ją upraszał, a ona gwałtownie odwróciła oczy, przenosząc je na sędziego, który przyglądał jej się badawczo z sofki w drugim końcu pokoju. Chłopczyk opierał się o jego kolano.

– Czy znasz tego młodego człowieka, Khin? – zapytał sędzia w ich języku. Nie było w tym pytaniu żadnej nieszczerości, żadnej przygany. Uprzejme szare oczy sędziego komunikowały jedynie, że chciałby się dowiedzieć.

– Widziałam go – przyznała.

Jeżeli sędzia usłyszał drzenie w jej głosie, to niczym tego nie okazał.

– I masz ochotę widzieć go ponownie? – zapytał. Przez jego usta przemknął dyskretny uśmiezek. – Bo on bardzo chce cię widzieć – dodał po chwili. – Może uznasz to za zabawne, ale już postanowił się z tobą ożenić, jeśli go zechcesz.

Khin odwróciła się z powrotem do oficera, którego uszy – bez osłony czapki – zdawały się sterczeć jeszcze dalej od głowy, a ocienione długimi rzęsami oczy mrugały żałośnie, co w sumie rzeczywiście wydało jej się zabawne. Poczula się jak po szklance ryżowego piwa: nagły zawrót głowy, radosne oszołomienie... Z jej ust zaczął się wydobywać ledwo słyszalny świergotliwy śmiech przybierający na sile, gdy oficer popatrzył na nią z szerokim potulnym uśmiechem (czyżby pomyślał, że ona i sędzia zażartowali sobie jego kosztem?). Zasłoniła usta palcami, nakazując sobie przestać chichotać, bo miała wrażenie, że jeśli nie przestanie, to się rozplacze, lecz ni stąd, ni zowąd chłopczyk też zaczął się śmiać, a po chwili i sędzia krztusił się wesołością, na koniec zaś dołączył do nich także oficer, zanosząc się śmiechem dźwięcznym, dobrotliwym i niewinnym.

– A zatem myśl ta jest ci miła – rzekł do niej sędzia, kiedy już się wyśmiali.

Wstrzymała oddech, przywołując się do porządku.

– Nie – odrzekła cicho.

– Nie?

– To znaczy tak.

– Tak?

Oficer patrzył to na jedno, to na drugie, najwyraźniej nie mniej speszony jej odpowiedziami niż ona sama. Wreszcie, po długiej chwili milczenia, zaskoczył ją żarliwą litanią na wpół wyśpiewanych wyrazów oddania i skruchy. Ponownie wpatrywał się w nią z uwielbieniem, choć w jego oczach czaiło się także niezrozumiałe dla niej cierpienie.

Sędzia dyplomatycznie uniół rękę i przerwał słowotok oficera paroma własnymi angielskimi słowami. Następnie zwrócił się do dziewczyny.

– To, co przed chwilą usłyszałaś, Khin, znaczyło, że on jest w Akyab tylko na ten miesiąc, po którym przeniosą go z powrotem do Rangunu. Mówi, że tak ujęła go twoja uroda, iż szedł za tobą i Blessingiem od portu, za co doprasza się twego wybaczenia.

– Czy jest białym Hindusem? – spytała, zaskakując tym samą siebie.

Sędzia, sądząc po minie, był niezadowolony z tego pytania, ale odwrócił się do oficera i zaczął go indagować. Oficer początkowo odpowiadał szeptem, lecz naciskany przez sędziego, perorował coraz śmielej, z rosnącą – jak jej się zdawało – emfazą i namiętnością.

– On nie ma pojęcia o naszym ludzie, Khin – przetłumaczył jej w końcu sędzia. – Nie odróżnia nawet Bamara od Karena, chociaż tutaj się urodził. Jest Żydem. Powiedziałem mu, że jesteś chrześcijanką i że twoja matka życzyłaby sobie zapewne, abyś wzięła ślub w kościele baptystów, tak jak, nie wątpię, i ty sama. Ta perspektywa, o dziwo, wcale go nie zniechęca. Przeciwnie, twierdzi, że to go jeszcze do ciebie zbliża, a zresztą sam, było nie było, jest w połowie chrześcijaninem. – Przez chwilę zdawało się, że sędzia utknął we własnych myślach, a jednak podjął wątek.

– Mam wrażenie, że wielu z nas, chrześcijańskich Karenów, jest połowicznie czcicielami duchów albo półbuddystami, gdy przychodzi co do czego.

„Ale nie ja!”, miała ochotę wtrącić. Owszem, czcicielką duchów i buddystką była jak najbardziej, w sekrecie jednak wyrzekła się chrześcijaństwa już lata temu po tym, co stało się z jej ojcem. Nie, sędzia pomylił się w jej ocenie, ale dosyć tego, nie zamierzała już nikogo więcej zwodzić. Do czego to podobne, że pozwala na rozmowę o małżeństwie z mężczyzną, przed którym odruchowo chciała się schować, mężczyzną, którego języka nawet nie rozumie!

Chłopczyk zszedł z kolan ojca i zaczął się ostrożnie przybliżyć do oficera, który (dostrzegła to dopiero teraz) wyciągał w jego stronę jakiś srebrny przedmiot: organki. Oficer spojrział przelotnie w jej oczy, a ona w odpowiedzi błysnęła najkrótszym, najnaturalniejszym uśmiechem. On zaś uniósł błyszczący przedmiot do ust i zagrał melodyjkę tak absurdalną, tak dziecinnie zabawną i głośną, że znowu wszyscy zaczęli się śmiać, przy czym jej śmiech był tym razem zaprawiony raczej smutkiem niż lękiem.

– Mogę zagrać? – zapytał chłopczyk, wyciągając rączkę.

Oficer otarł organki o rękaw i ofiarował je małemu w prezencie.

– Zostaw nas teraz, Blessing – powiedział sędzia.

Chłopczyk oddalił się w podskokach z nowym skarbem. Pod jego nieobecność pytanie oficera – to, po co przyszedł, jego pociąg do dziewczyny – stało się wprost nieznośnie ostentacyjne. Khin starała się uwolnić oczy od jego spojrzenia, ale ono domagało się jej wciąż na nowo. „Moje życie jest już twoim”, zdawało się mówić. Kiedy zdarzyło jej się doświadczyć takiej prostoty nierozwodnionego uczucia, pragnienia?

– Nie powinnaś czuć się pod presją, Khin – odezwał się sędzia. – To dopiero pierwsza wizyta. Mogę mu powiedzieć, że potrzebujesz czasu na odpowiedź. Może pošlemy po twoją matkę?

– Gdzie on się nauczył na nich grać? – spytała. Zapewne miała na myśli organki, ale i tym razem zaskoczyło ją własne pytanie.

Sędzia, już lekko zmęczony, przekazał jej pytanie oficerowi, który odpowiadając, przytknął oczy, jakby wypatrywał nikłego światła w mrokach przeszłości.

– Mówi, że nie pamięta – oznajmił sędzia z większym już wigorem. – Ale wydaje mu się, że matka go nauczyła. Mówi, że matka nie była szczególnie utalentowaną śpiewaczką ani muzykantką,

za to wykorzystywała swoje zdolności do maksimum, co i on usiłuje robić, odkąd został sam. Mówi, że głos matki był jedynym, który miał dla niego głębsze znaczenie.

Przez chwilę nie mogła wykrztusić słowa, ledwo zdołała oddychać i myśleć jasno o tym, co powinna zrobić.

– Posłuchaj mnie, Khin – rzekł z naciskiem sędzia. – Naoglądałem się w swojej profesji strasznych rzeczy. Uważam się za dobrego sędziego ludzkich charakterów. Patrzę w oczy temu mężczyźnie i widzę w nich szczerść. Jesteś mu winna szczerze wyznanie swoich uczuć, nawet jeśli to znaczy, że szczerze powiesz mu, żeby cię zostawił w spokoju.

Być szczerą wymagało znajomości siebie, posiadania jakiegoś ja, które domaga się poznania, odczuwania instynktownej chęci życia, a nie śmierci.

– Czy zatem mam mu powiedzieć, że napiszę do twojej matki? – drążył sędzia. – Czy też mam go poprosić, żeby sobie poszedł?

Obejrzała się na oficera, na jego dumne młode rysy emanujące tęsknotą. Nagle wydało jej się, że widzi go na wskroś, do szpiku kości. Że język jest bez znaczenia. Że ten człowiek nie ma nikogo innego na świecie.

Kimże była, by się upierać, że dla niej świat jest jakiś inny?